

ne. Wydaje mi się, że można to przypisać powszechnemu sceptycyzmowi, z jakim przyjmuje się szerzenie kultury Zachodu; gdyby bowiem udało się uchronić Afrykę od jakiegokolwiek penetracji z zewnątrz, europejskiej, arabskiej czy hinduskiej, gdyby tutejsza ludność mogła żyć w niezłomnej ignorancji, tworząc od korzeni własną wiarę oraz instytucje, to wówczas, wiedząc, jak spapraliśmy robotę w Europie i jak ogromne zło towarzyszy każdemu dobru, które zdołaliśmy osiągnąć, mogliśmy uznać, że próba nawracania Afryki, kiedy są jeszcze poganie w Europie, była rzeczą szkodliwą. Jednakże jest całkiem pewne, że w dobie optymistycznej ekspansji poprzedniego stulecia Afryki nie zostawiono by w spokoju. Nieważne, czy by tego chciała – trafiłyby tam najgorsze śmieci naszego kontynentu: mechanizacja transportu, rządy przedstawicielskie, organizacja pracy, sztucznie pobudzany apetyt na różnorodność ubrań, jedzenia i rozrywki – wszystko to czyhało na Afrykanów tuż za rogiem. Europa ma tylko jedną dobrą rzecz, którą może komukolwiek zaproponować, i tę przynieśli misjonarze”.

Jest jeszcze jedna sprawa warta uwagi czytelnika. Wydaje się, że Waugh przez całe życie pozostawał pod wpływem owych „socjologów”, o których wspominał w pierwszym przywołanym fragmencie. Szczególnie dotyczy to przekonania, że „wskutek zakazu ceremonii inicjacyjnych ulega erozji integralność plemienia”. Można w tym zdaniu prawdopodobnie odnaleźć element pozwalający zbliżyć się do zrozumienia, późniejszego o wiele lat, gwałtownego

sprzeciwu Evelyn Waugh wobec porzucania przez Kościół starodawnych form liturgii. I erozji, jakiej, wedle jego obawy, miała ulec integralność Kościoła.

Na sam koniec swoich wspomnień z podróży Waugh jeszcze raz, w pewien sposób, dystansuje się wobec roli, jaka przypadła zwykle autorom zapisków z podróży po imperium. Dając czytelnikowi niewielki obrazek z karczemnego londyńskiego życia towarzyskiego, pyta się nas wprost: „Po co jeździć za granicę? Najpierw obejrzymy sobie Anglię”. Uwagę tę można zrozumieć na kilka sposobów. Po pierwsze, być może podróże wcale nie kształcą, po drugie, że nie ma specjalnego powodu, by być dumnym z własnej brytyjskości, a po trzecie, że tego, co o człowieku warto wiedzieć, możemy nauczyć się wśród swoich, bo ostatecznie natura ludzka jest wszędzie taka sama. ▣

Tomasz Rowiński

„Mój mały mszalik”, czyli wprowadzenie dzieci do uczestnictwa w Mszy świętej w formie nadzwyczajnej

Katarzyna Robaczewska, *Mój mały mszalik*.

*Krótkie objaśnienie obrzędów Mszy Świętej
wraz z katechizmem i modlitwami*, Centrum
Kultury i Tradycji „Wiedeń 1683”, Lublin

2015, s. 55.

Jako rodzic pięciorga dzieci, starający się odkrywać wraz z całą rodziną bogac-

two liturgicznej tradycji Kościoła przede wszystkim poprzez uczestnictwo w Mszy świętej w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego, z zainteresowaniem przyjąłem publikację Katarzyny Robaczewskiej, pt. *Mój mały mszalik. Krótkie objaśnienie obrzędów Mszy Świętej wraz z katechizmem i modlitwami*. Myślę, że wielu katolickim rodzicom zabierającym dzieci na tę liturgię towarzyszy poczucie, że przynajmniej do czasu, kiedy dzięki kilkuletniej praktyce wszystkim uda się „zadomowić” w jej wymagającej zewnętrznej formie, pewną trudność sprawia jednoczesne wprowadzanie młodszych dzieci (nie mówię o zupełnych maluchach, ale mniej więcej o pięcio-, ośmiolatkach) w wewnętrzną treść tego, co się w niej dokonuje, oraz w niezbędne przygotowanie do niej. I tu właśnie pomoc może stanowić wspomniana publikacja, co miałem już okazję sprawdzić w praktyce, a w zasadzie nie ja, tylko mój sześćdziesięcioletni syn.

Tytuł książeczki trzeba czytać w całości, wraz z podtytułem, co pozwoli uniknąć niewłaściwie skierowanych oczekiwań. Nie jest ona „mszalikiem” *sensu stricto*, nie zawiera całości tekstów mszalnych (choćby tylko części stałych), nie stanowi szczegółowej praktycznej pomocy w aktywnym włączeniu się w akcję liturgiczną. Zgodnie z tym, co zapowiada podtytuł, jest to podążające za tokiem tej akcji jej objaśnienie, połączone z sugestiami co do wzbudzanych wewnętrznych intencji i/lub właściwej postawy. Autorce udało się, nie wchodząc w skomplikowane liturgiczne szczegóły, które musiałyby całość uczynić

dla dzieci nieprzydatną, stworzyć proste, a jednocześnie pogłębione wprowadzenie w sens kolejnych etapów liturgii mszalnej oraz wskazać dzieciom drogi modlitewnego zaangażowania. Następnym stronom towarzyszą ilustracje, pozwalające dzieciom wizualnie zidentyfikować dany moment Mszy. Do całości dołączone są łacińsko-polskie teksty antyfon maryjnych śpiewanych w poszczególnych okresach liturgicznych, modlitwy po Mszy przepisane przez Papieża Leona XIII, mały katechizm i modlitwy wieczorne.

Być może zabrzmiałoby to paradoksalnie, ale z mojego punktu widzenia, jako rodzica zatroskanego o liturgiczną formację dzieci, jedną z głównych zalet *Mojego małego mszalika* jest jego ogólny i „niekompletny” charakter. Nie jest on stworzony jako coś, co ma mnie całkowicie wyręczyć, co ma zastąpić domową katechezę mistagogiczną albo co ma ściągnąć ze mnie obowiązek stopniowego uczenia dzieci tekstów *ordinarium* (skądinąd akurat one mogłyby się w nim znaleźć, choćby jako pierwsza część dodatku). Sądzę, że został on pomyślany nie jako substytut całościowej formacji liturgicznej, jakiej w katolickim domu powinny podlegać dzieci, ale jako jej wsparcie i suplement. Idąc głównymi etapami Mszy, uwypuklając rzeczy najważniejsze i wskazując właściwą naszą wobec nich postawę i wewnętrzną odpowiedź, może pomóc zbudować ogólną podstawę, która w kolejnych etapach formacji może być uzupełniana przez nasze własne objaśnienia, a w końcu przez sięgnięcie już po normalny, „dorosły”

mszalik. To wszystko jednak powinno się odbywać przy naszym – rodziców – aktywnym zainteresowaniu i wysiłku, dla których *Mój mały mszalik* stanowi dobry punkt odbicia.

Publikacja ma kilka słabych stron, których z pewnością nie omieszkać wytknąć co bardziej drobiazgowi krytycy, jakich w naszych środowiskach nie brakuje (faktycznie raczej cierpimy na ich nadmiar). Jak wspominałem, mogłyby znaleźć się w niej teksty *ordinarium*, pominięto *Agnus Dei*, przechodząc wprost od *Pater noster* do Komunii świętej, na ilustracjach zdarzają się drobne błędy i niekonsekwencje itp. Ale to w żadnym wypadku nie przekreśla wartości *Mojego małego mszalika*, która nie tkwi w detalicznej prezentacji mszalnego *ordo*, lecz w pomocy dla stworzenia pewnych podstaw pogłębionego dziecięcego uczestnictwa w Najświętszej Ofierze. Nie w jego potencjale informacyjnym, a mistagogicznym. A ten ma on całkiem spory. ■

Tomasz Dekert

Msza z Tournai. Rewolucja estetyczna

Messe de Tournai (XIV^e siècle), Ensemble
Organum – Marcel Pérès, dir.
Harmonia Mundi HMC 901353 (1990).

Około roku 1320 Filip de Vitry pisze swój sławny traktat zatytułowany *Ars nova*, od którego to tytułu nazwę przejęła później cała epoka muzyczna. Mówi się

o tym momencie dziejów muzyki jako o jednym z najistotniejszych punktów zwrotnych. Ja zaryzykowałabym tezę, że była to pierwsza chyba w dziejach muzyki rewolucja estetyczna. Rewolucja, gdyż było to faktyczne zerwanie z dotychczasową tradycją i praktyką. Już sama nazwa sugeruje takie zerwanie: dotychczasową praktykę muzyczną oraz techniki kompozytorskie nazwano bowiem starą praktyką: *Ars antiqua*. Od tej zaś pory autorytatywnym aktem twórczym wprowadzono i uczyniono wszystko nowym. Nieprzypadkowo też historia zachowała w pamięci nazwisko inicjatora tej rewolucji, mimo że niewiele pozostało po nim zachowanych utworów, przetrwał jednak traktat, który był intelektualną bazą tej rewolucji.

Oczywiście jak na nasze standardy ta średniowieczna rewolucja była wyjątkowo konserwatywna. Utrzymywała się ona bowiem w obowiązującym nurcie pitagorejskiego rozumienia muzyki jako zewnętrznego, cielesnego przejawu tego, co wieczne, czyli boskich liczb. Stąd wszelka doskonałość w muzyce przejawia się w troistościach, trójkowym metrum czy trójkowych podziałach rytmicznych, również zachowane zostały dotychczasowe rozumienia konsonansu jako doskonałych proporcji wynikających z matematycznych zależności pomiędzy liczbami.

Kolejnym tradycyjnym elementem ideologii sztuki *Ars nova* było pojmowanie muzyki nadal jako sztuki przeznaczonej nie tyle dla uszu, ile raczej dla umysłowej rozkoszy, płynącej z analizy konstrukcji